

Michał Komar

Władysław Bartoszewski

Wywiad rzeka

AUTORYTETY 

Świat Książki



Projekt okładki
Małgorzata Karkowska

Zdjęcie na okładce
Łukasz Banasik/East News

Wydawca
Małgorzata Maruszkina

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Elżbieta Lewczuk

Indeksy
Małgorzata Dehnel-Szyc

Fotoedytor
Monika Kiersnowska

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Bożenna Burzyńska
Anna Sidorek

Copyright © by Władysław Bartoszewski & Michał Komar, 2006
Copyright © by Bertelsmann Media sp. z o. o., Warszawa 2006

Świat Książki
Warszawa 2006
Bertelsmann Media sp. z o. o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
DK

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1955-6
Nr 45021

Spis treści

WSTĘP

1. SKĄD PAN JEST?

2. WRZESIEŃ 1939

3. AUSCHWITZ

4. KONSPIRACJA

5. KTO RATUJE ŻYCIE LUDZKIE

6. POWSTANIE

7. NOWE CZASY

8. WIĘZIENIE

9. „PAŹDZIERNIK” – CZAS PRZEMIAN

10. KRUSZENIE MURU

11. BRUDNA PIANA, CZYSTY NURT

12. CO W PANU JEST?

PODZIĘKOWANIA

INDEKS OSÓB

WSTĘP

Przygotowując się do rozmowy z Władysławem Bartoszewskim, poprosiłem przyjaciół o pomoc w znalezieniu stosownego tytułu całości. Pierwszy z nich powiedział: – Ostatni, co tak poloneza wodzi... – i aż oczy mu zabłysły z zadowolenia. Drugi z uporem powtarzał, że z takiej rozmowy powinny wynikać wnioski praktyczne. – Niech to będzie „Osobisty poradnik na ciężkie czasy”. Trzeci wspomniał o napisie widniejącym na medalu Yad Vashem: „Kto ocala jedno życie, ocala cały świat”. Czwarty zaś zaproponował: – ...my z niego wszyscy... – by po chwili dodać: – Chciałoby się, żeby tak było... A jeśli my z niego wszyscy i chciałoby się, żeby tak było, to trzeba zapytać, skąd jest Władysław Bartoszewski.

1. SKĄD PAN JEST?

BYŁEM TAK WYCHOWYWANY. ŻEBY SIĘ NIE DAĆ. DZIECKO RUCHLIWE, WYNALAZCZE I DOSYĆ SAMODZIELNE.

Michał Komar: Skąd pan jest?

Władysław Bartoszewski: Z bardzo zwyczajnej sytuacji. Przeciętna katolicka rodzina mieszkająca w Warszawie. Kiedy się urodziłem, a był to rok 1922, mój ojciec miał dwadzieścia siedem lat, matka dwa lata mniej. Ojciec pracował w banku, matka była urzędniczką miejską. Później dzięki wytężonej pracy, samokształceniu, nazwijmy to ogólnie rozwojem osobistym, obydwójce awansowali. Ojciec osiągnął stanowisko naczelnika w Banku Polskim, potem był nawet jednym z wicedyrektorów w tej instytucji. Matka pracowała w dziale księgowości elektrowni miejskiej. Byłem, niestety, ich jedynym dzieckiem, co rzutowało w jakimś stopniu na moją samotność. Matka pochodziła z całkowicie zubożalego ziemiaństwa, które przeniosło się do miasta. A więc środowisko mieszczańskie. Ojciec matki był pracownikiem kolei, jej matka – nauczycielką. Rodzice mego ojca byli chłopami z Mazowsza. Czyli, mówiąc krótko, byłem takim sobie przeciętnym polskim dzieckiem w przeciętnej polskiej rodzinie, ani u szczytów, ani w nędzy. W przeciętnej rodzinie, która żyła z pracy i układała sobie życie w nowym, wolnym państwie.

To ostatnie jest bardzo ważne. Fakt, że urodziłem się w wolnej Polsce i że chodziłem do polskiej szkoły, był dla moich rodziców czymś niezwykłym i radosnym. Dorastali, kończyli szkoły, dojrzewali pod zaborami, w czasach gdy prawdopodobieństwo odzyskania niepodległości wydawało

się bliskie zera. Dla mnie ten sam fakt był tak oczywisty jak oddychanie. Bo gdzie miałbym się urodzić, jak nie w wolnej Polsce? Innej możliwości nie umiałbym sobie wyobrazić. Trójpodział Polski, rozbiory – były dla mnie tematem z podręcznika historii. Urodziłem się w trzecim roku istnienia naszego państwa, półtora roku po odparciu armii bolszewickiej spod Warszawy, a więc jestem z pierwszego pokolenia Polski odrodzonej.

Mieszkaliśmy w małym, jednopiętrowym domu stojącym między okazałym budynkiem Banku Polskiego i pałacem Radziwiłłów, przy ulicy Bielańskiej 12, w centrum miasta, kilkaset metrów od placu Teatralnego. Gmach banku, zniszczony w czasie wojny, został częściowo odbudowany. W pałacu Radziwiłłów, gdzie wtedy przez część roku mieszkał Janusz Radziwiłł z rodziną, no i oczywiście ich pracownicy, po wojnie zainstalowała się najpierw Centralna Rada Związków Zawodowych, później Muzeum Lenina, po 1989 znalazło tam siedzibę Muzeum Niepodległości. Natomiast domku, w którym znajdowało się nasze mieszkanie, mówię nasze, choć było mieszkaniem służbowym banku, dziś już nie ma. Dalej, koło Tłomackiego, koło Nalewek, żyli wyłącznie warszawiacy-Żydzi. I nie byli to inżynierowie, lekarze, prawnicy, ale przeważnie zwykli robotnicy, rzemieślnicy, sklepikarze, bardzo często noszący się w sposób tradycyjny, egzotyczny, gdy spojrzeć na to z dzisiejszego punktu widzenia. Teraz, gdy tysiące Polaków pielgrzymują do Ziemi Świętej, wystarczy przejść paręset metrów poza mury starej Jerozolimy, na północny wschód, ku Mea Szearim, by zobaczyć Nalewki, ulicę Długą, Bielańską, takie, jakie widziałem oczyma kilkuletniego dziecka. Kto zobaczy, jak bawią się dzieci w Mea Szearim na zieleńcu, ten może wyobrazić sobie żywą przestrzeń Ogrodu Krasieńskich, którego resztki zachowały się gdzieś między Świętojerską i tyłami Arsenalu. Dla większości to odległa, niemal zamierzchła przeszłość, a dla mnie to dzieciństwo.

Bawił się pan z dziećmi żydowskimi?

Prawie wyłącznie z dziećmi żydowskimi. Innych tam nie było. W tej części miasta chrześcijanie, goje, nie mieszkali. My zajmowaliśmy mieszkanie służbowe. To był dla moich rodziców ogromny bonus, wtedy, po pierwszej wojnie światowej, młodych urzędników nie było stać na zakup czy wynajęcie mieszkania w eleganckich dzielnicach, a przecież i teraz otrzymanie służbowego lokalu jest korzystnym zaszczytem. O tym, gdzie zamieszkaliśmy, zdecydowała administracja banku. Ojciec był wtedy

pracownikiem skarbcza emisyjnego. Z czasem został zastępcą naczelnika skarbcza, co w przekładzie na język praktyki oznacza, że był depozytariuszem części składanego klucza do ukrytego skarbcza, w którym znajdowały się państwowe rezerwy złota.

Widział pan ten klucz?

Nie tylko klucz. Widziałem też skarb. Kiedyś ojciec, oczywiście za zgodą swojego szefa, pana dyrektora Oczechowskiego, zaprowadził mnie do skarbcza Banku Polskiego w podziemiach budynku przy Bielańskiej. Za stalowymi kratami leżały równo ułożone ogromne ilości cegiełek ze złota. Ale wtedy, prawdę mówiąc, bardziej niż złotem zainteresowałem się biegającym wokół mnie psem dyrektora Oczechowskiego. Dla chłopca w moim wieku, a miałem chyba cztery lata, może pięć, pies był bardziej atrakcyjny niż złoto. Nie pamiętam, jak wyglądał, jakiej był rasy, ale wiem, że przyciągnął moją uwagę, tym bardziej że u nas w domu psa nie było.

Podobno w czasie zabaw z dziećmi sąsiadów nauczył się pan podstaw jidysz?

Zacząłem rozumieć, co mówią, i nabyłem nawet umiejętność wysławiania się w tym języku w sprawach podstawowych. Potem, kiedy zacząłem systematycznie uczyć się języka niemieckiego, dobra niemczyzna wyparła jidysz z mojej pamięci. Ale do dziś, gdy jestem na przykład w Jerozolimie w Mea Szearim i słyszę rozmowę prowadzoną w jidysz, to ją rozumiem. Oczywiście nie wszystko. Wiem, czego dotyczy rozmowa, choć nie znam poszczególnych słów. Więc wtedy znalazłem trochę jidysz, który był językiem powszechnym w tej dzielnicy. Oczywiście wszyscy rozumieli po polsku, ale między sobą większość nie używała polskiego. Z tym moim rozumieniem zrobił się problem, bo zdarzało się, że w parku jakaś żydowska matka mówiła do swego dziecka – wskazując na mnie: – ...nie baw się z tym głupim gojem, a mnie było przykro. Dzisiaj się z tego śmieję, ale wtedy, po powrocie do domu, rozżalony pytałem: – Mamo, dlaczego ja jestem głupi goj? Mama najpierw śmiała się, potem pytała, kto mi to powiedział. – A, w parku, jedna pani... Mama odpowiadała: – Nie przejmuj się. Nie jesteś ani głupi, ani mądry. Po prostu jesteś, jaki jesteś. I tyle. Moi rodzice mieli znajomych, koleżanki i kolegów pochodzenia żydowskiego. Ci ludzie bywali u nas w domu, a i my bywaliśmy u nich. Normalne sto-

sunki towarzyskie. Do niektórych mówiłem „ciociu”, „wujku”. Ponadto ojciec mój był zbieraczem, numizmatykiem i filatelistą. Pamiętam, że odwiedzali go także żydowscy koledzy i przy świetle lampy, z lupami w dłoniach, pochylali się nad albumami. Nie wolno mi było wtedy wchodzić i przeszkadzać. Bardzo tego nie lubilem...

A pan zbierał znaczki?

Zacząłem zbierać, ale jakoś bez entuzjazmu, co zrozumiałe, bo mój ojciec był wielkim kolekcjonerem, miał tysiące marek pocztowych, jak wtedy się mówiło, a ja odczuwałem dyskomfort, widząc, że go nie prześcignę. Trochę więc zbierałem, ale nigdy nie stałem się zbieraczem nałogowym. Kto mógł przewidzieć, że bezinteresowna pasja, jaką jest zbieractwo, przyniesie ojcu wymierną korzyść? W czasie okupacji z ciężkim sercem sprzedał swoje zbiory, bo ze swojej umownej pensji w banku kontrolowanym przez Niemców musiałby żyć biednie. A tak żył jako tako. Przynajmniej nie miał problemu z wyżywieniem czy ubraniem.

Warszawa z czasów pana wczesnego dzieciństwa miała około 1 300 000 mieszkańców na obszarze trzykrotnie mniejszym niż dzisiaj.

Tak, miasto było znacznie mniejsze. Bo na południu Warszawa praktycznie wygasła gdzieś pomiędzy placem Unii Lubelskiej i ulicą Madalińskiego, czyli w dzisiejszym centrum miasta. Rakowiecka to było już przedmieście, prawdziwe, jak należy. Tam były koszary i kryminal, tam Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego miała swoje ogródki doświadczalne, do dzisiaj ich resztką została, po osiemdziesięciu latach. Wtedy te ogródki były rozległe, rozciągały się wokół pierwszego budynku SGGW, niedaleko kościoła (wtedy tylko kaplicy) Jezuitów. Na rogu Puławskiej i Rakowieckiej stał pułk artylerii przeciwlotniczej, a wojsko jest zawsze atrakcją dla dziecka. Dalej, owszem, budowano, ale przedmieście przechodziło w wieś. Były pola. Za nimi, daleko, nowy tor wyścigów konnych na Służewcu. Stary tor znajdował się przy Polnej, za nim, w stronę ulicy Wawelskiej, było lotnisko. Doskonale pamiętam te samoloty, przeważnie dwupłatowe, i pamiętam wyścigi konne, na które można było popatrzeć przez dziury w płocie. Pamiętam dobrze te okolice, bo ojciec w związku z awansem otrzymał chyba w 1928 roku kolejne, lepsze mieszkanie służbowe, w budynku nr 7 przy ulicy Flory.

Czyli bardzo blisko Belwederu.

Bardzo blisko Belwederu, gdzie pracował i mieszkał marszałek Piłsudski. Blisko Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych, blisko Łazienek, blisko alei Szucha, na której stawiano okazałe budynki Najwyższej Izby Kontroli Państwa i Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Nobliwa dzielnica, jedna z najlepszych w Warszawie pod względem standardu lokali, prawdopodobnie też jedna z najdroższych, ale mnie to nie obchodziło. Obok domu, w którym mieszkaliśmy, zaczęto z rozmachem budować nowe kamienice. Latem można było usłyszeć dźwięki muzyki dobiegające z ogródka kawiarni Dakowskiego, dziś znajduje się tam rezydencja ambasadora Wielkiej Brytanii. Budowano też na ulicy Chocimskiej, przy linii kolejki wąskotorowej, która łączyła Warszawę z odległym Piasecznem i odległym Konstancinem. Jeden z tych domów zachował się. Ma ścięty narożnik do wysokości pierwszego piętra, bo pod tym narożnikiem musiał zmieścić się komin lokomotywy. Po kolejce nie ma już dziś śladu, ale charakterystyczny narożnik pozostał. Na pobliskiej ulicy Klonowej była wtedy znana, prywatna szkoła męska Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej...

I tam pan rozpoczął nauki szkolne?

Nie chodziłem do szkoły podstawowej, którą wtedy nazywano szkołą powszechną. Naukę pobierałem w domu, od korepetytorki, i w ten sposób opanowałem materiał pierwszych czterech klas. Latem 1930 roku zdałem egzamin do prywatnego Gimnazjum Katolickiego im. św. Stanisława Kostki przy ulicy Traugutta 1. Przed pierwszą wojną światową gimnazjum nosiło imię margrabiego Wielopolskiego, a dzięki temu podlizaniu się uzyskało od Rosjan zgodę na prowadzenie zajęć w języku polskim. Jego absolwentem był, między innymi, Witold Gombrowicz, ale o tym dowiedziałem się po latach. Szkoła była katolicka, konserwatywna, pobożna. W mojej klasie większość uczniów wywodziła się z rodzin rzemieślniczych, kupieckich, drobnourzędniczych, ale byli też przedstawiciele znanych rodzin wielkomieszczańskich, bardzo katolickich: Witek Rotwand i Lopek Kronenberg. Co niedzielę maszerowaliśmy pod sztandarem do pokarmelickiego kościoła św. Józefa. Obecność na mszy była obowiązkowa. Mszę odprawiał na ogół nasz prefekt ksiądz Julian Chrościcki. On też przygotowywał mnie do pierwszej komunii. Z tego czasu zapamiętałem

makabryczną przygodę. Idąc do pierwszej spowiedzi, spisałem na kartce moje grzechy, ale kartkę zgubiłem i potem bałem się, że ją znajdą koledzy.

Są takie wspomnienia z dzieciństwa, które, choć nie do końca wyraźne, to na zawsze pozostają w pamięci...

Pamiętam, że bawię się na placu Saskim, czyli placu Piłsudskiego, przy murze wysokości półtora metra, ale dla mnie wysokim. Czyli że jestem mały. Ale kiedy to było? I gdzie? Przecież za mojej dorosłej pamięci na środku placu nie było żadnych murów. Przez długie lata nie umiałem tego miejsca zlokalizować, choć wspomnienie powracało raz po raz. W końcu upewniłem się, że mur był resztką fundamentów wielkiego soboru prawosławnego, czyli katedry św. Aleksandra Newskiego, która została rozebrana w latach 1924–1926, przy czym jej wielką sześćdziesięciometrową dzwonicę zburzono w roku moich narodzin.

Drugie takie wspomnienie, dziś bardzo dla mnie ważne, dotyczy pewnego konduktu pogrzebowego. Przez ulicę Bielańską często przeciągały ku Powązkom karawany. Konie spowite kirem, nierzadko ze srebrnymi czy złotymi zdobieniami na czarnych narzutach, karawaniarze z latarniami, kapłani idący przed karawanem, na którym stała trumna. Otóż pod koniec 1925 roku patrzyłem z okien naszego mieszkania na kondukt nadzwyczaj uroczysty, taki jakiego nigdy przedtem i długo potem nie widziałem. Zrobił na mnie wielkie wrażenie. Jako dziecko rzadko stykałem się ze śmiercią. Nie było okazji. Rodzice młodzi. Ciotki i wujowie też. W wieku nie do umierania. Babka żyła w dobrym zdrowiu. Trudno się dziwić, że długi kondukt powoli kroczący przez Bielańską w stronę Powązek wbił mi się w pamięć. Później dowiedziałem się, że to był pogrzeb Stefana Żeromskiego.

Trzecie wspomnienie z dzieciństwa dotyczy 1926 roku. Wiosną, już po Wielkanocy, gdy robiło się ciepło, wyjeżdżałem z niańką na letniaki, do Józefowa czy Świdra, już nie pamiętam. Mama przyjeżdżała do mnie późniejszym popołudniem, zajmowała się mną, a raniutko, gdy jeszcze spałem, jechała kolejką do pracy w elektrowni, by wrócić po południu. W maju 1926 roku nastąpiły zaburzenia w tym cyklu. Mama przestała przyjeżdżać, a od strony Warszawy słychać było huk armat. To były tzw. wydarzenia majowe, o których, rzecz jasna, nie wiedziałem, ale pamiętam mój lęk. Moje pierwsze rozstanie z matką. Ważne wydarzenie w życiu każ-

dego dziecka. A oprócz tego nie mogłem zrozumieć, skąd biorą się te odgłosy, przypominające burzę z piorunami, grzmotami, skoro niebo jest czyste, bez chmur. Groźne huki, nie ma mamy i nie wiadomo, jak długo jej nie będzie. Tak to trwało przez kilka dni.

Pamiętam też czas, gdy zamieszkała u nas matka mojej matki, babcia Józefa. Babcia – zanim urodziła i wychowała pięcioro dzieci – była nauczycielką. Nie miała wyższych studiów, prawdopodobnie ukończyła jakieś kursy nauczycielskie po maturze, ale w zaborze rosyjskim w XIX wieku to był świetny zawód. To jej zawdzięczam pierwszy kontakt ze słowem drukowanym. U nas w domu nie było szczególnie dużo książek. Trochę klasyki, trochę albumów, trochę książek religijnych i poradników w rodzaju „Lekarz ratujący życie”, w którym były atlasy anatomiczne. Wśród albumów leżało wydanie *Pana Tadeusza* w bardzo dużym formacie, zielonej płóciennej oprawie ze złoceniami, ze sztychami Andriollego. Sztychy znane, reprodukowane do dziś w rozmaitych edycjach *Pana Tadeusza* otworzyły mi oczy na świat bajeczny, odległy od codziennego doświadczenia warszawskiego. Tekst był drukowany dużą czcionką, pewnie dla powiększenia objętości, ale dzięki temu bardziej czytelny. Zacząłem uczyć się czytać. Chciałem udowodnić babci, że już umiem i że sam, bez niczyjej pomocy... Podpisy pod ilustracjami wydrukowane pismem kaligraficznym były trudniejsze, słowa w wersach łatwiejsze. Tak więc przypadek sprawił, że choć miałem *Elementarz* Falskiego, to moją pierwszą książką był *Pan Tadeusz*.

Czego pan bał się w dzieciństwie? Czarownicy? Duchów? Komtura krzyżackiego?

Matka była rozumna i jak na swoje pokolenie dość oświecona, nie przychodziło jej do głowy straszenie mnie czarownicami. Nie, nie straszyla mnie. Ale niania, która była półanalfabatką ze wsi, doskonale wiedziała, co jest złe i co jest najgorsze. Była pobożna, prowadziła mnie więc do kościoła św. Antoniego na Senatorską, do Wizytek, niekiedy do Kapucynów na Miodową, bo tam były ciekawe szopki, czasami do skromnego wówczas kościoła garnizonowego na Długą. Byłem tak wychowywany, żeby się nie dać. Dziecko ruchliwe, wynalazcze i dosyć samodzielne. A to niekiedy niepokoiło nianię. Wtedy mówiła: – Jak będziesz niegrzeczny, to przyjdzie bolszewik i cię zabierze! Dla tej dziewczyny, która w 1920 roku miała kil-

kanaście lat, a wywodziła się z bardzo biednej wsi, bolszewik, strzelający, rabujący, gwałcący, był synonimem ostatecznego zagrożenia.

Trzydzieści kilka lat później, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, pracowałem przez krótki czas w tygodniku „Stolica”. Na przyjęciu świątecznym zorganizowanym w redakcji pojawił się dyrektor wydawnictwa, oczywiście członek jedynej słusznej partii, a gdy wszyscy nieco sobie podpiłi, opowiedziałem o mojej niańce i straszeniu bolszewikiem. Obecni zamarli. Dyrektor Stanisław Błotnicki, zresztą Żyd uratowany w czasie okupacji przez chrześcijan, człowiek bardzo dla mnie życzliwy, obrócił wszystko w żart: – No, redaktorze, to musieliście być cholernie niegrzeczni, skoro...

Jak daleko sięgała pamięć pana rodziny?

Ojciec o tym mówił niechętnie, bo przecież wyrwał się ze swojej wsi. Zostawił ją za sobą, nie oglądał się, nie wspominał. Rodzina była biedna, ziemi mało, pięcioro dzieci, trzeba było dorabiać we dworze. Ojciec dzięki pomocy filantropów wyjechał do Warszawy. Pracował. Uczył się. To było życie pełne wyrzeczeń, wymagające uporów, stanowczości i odwagi. Jego cztery starsze siostry z czasem powychodziły za mąż. Byłem parę razy u dziadków we wsi Żary, pod Bożą Wolą, niedaleko od Warszawy, w trójce Warszawa – Sochaczew – Błonie. Prawie nic z tego nie pamiętam. Potem dziadkowie pomarli i kontakt się urwał. Ojciec, jak to się niekiedy zdarza, przylgął do rodziny żony.

Moja matka, z domu Zbiegniewska, była blisko spokrewniona z Izabellą Zbiegniewską, przełożoną pensji żeńskiej we Włocławku, emancypantką czy też sufrażystką. Historycy XIX wieku piszą o niej jako o osobie poglądów postępowych, antycarskich. Rosjanie odebrali jej prawo do kierowania szkołą w związku z patriotycznym zachowaniem jej uczennic w 1863 roku. Izabella Zbiegniewska serdecznie przyjaźniła się z Narcyzą Żmichowską. W trzymtomowym wydaniu listów Żmichowskiej pół tomu zajmują listy do pięknej Eli – Izabeli. To była przyjaźń kobiet dość samodzielnych, które jakoś tam obywateli się bez mężczyzn. Babka pisywała do „Bluszczu”, była autorką wydanego pod pseudonimem IZ *Słowniczka pseudonimów i kryptonimów polskich*, korespondowała z Teofilem Lenartowiczem. Gdyby żyła w innych czasach, to pewno byłaby polonistką, autorką rozpraw literackich. Tyle o inteligenckiej tradycji rodziny ojca mojej matki, czyli Mieczysława Eligiusza Zbiegniewskiego.

Dziadek Zbiegniewski pochodził z rodziny ziemiańskiej, ale to wcale nie znaczy, że był ziemianinem. Pracował na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Kolej w XIX wieku była instytucją postępową, niektórzy wszakże spoglądali na nią podejrzliwie, nawet z lękiem. Babcia opowiadała mi, że za czasów jej młodości, czyli w latach 1870–1880 uważano, że jazda pociągiem z prędkością 30 kilometrów na godzinę źle wpływa na płuca dziewcząt. Tak właśnie! Babcia śmiała się, bo przecież gdy mi to opowiadała w drugiej połowie lat dwudziestych XX wieku, trudno było sobie wyobrazić życie bez kolei.

Babcia wywodziła się z mieszczańskiej, kupieckiej rodziny Brodzkich, właścicieli sklepu kolonialnego najpierw na ulicy Elektoralnej, potem na Miodowej. Romuald Brodzki występuje w wykazie kupców chrześcijańskich w starych kalendarzach warszawskich. I ta rodzina po linii macierzystej była zasiedziała w Warszawie co najmniej od czasów Królestwa Kongresowego. Protoplaści mojej matki, poza tą dosyć znaną babcią emancypantką, nie byli sławni. Jakiś pradziadek pracujący w sądzie w Ostrołęce, jakiś dziadek notariusz. Żadne szczyty. Rodziny inteligentkie, polskie, rozmaitych orientacji politycznych. Na przykład w linii dziadka notariusza była straszna ciocia endeczka, która paliła świeczki ku czci Eligiusza Niewiadomskiego, zabójcy Narutowicza. Był też wujek Osterman, farmaceuta mieszkający w Odessie. Moja mama, jeszcze jako uczennica gimnazjum, spędziła u niego wakacje. To była wielka egzotyczna podróż, choć przecież nie wiązała się z przekraczaniem granicy. Kiedy wybuchła rewolucja, wujek Osterman natychmiast uciekł do Polski. Uciekł tak, jak stał. Wszystko zostawił w Odessie i w Warszawie przyszło mu klepać biedę.

Rodzina nie miała wspomnień heroicznych. Żadnych bohaterów powstań, żadnych uczestników walk. Dla mnie takim bohaterem stał się mąż ciotki Aliny, rodzonej siostry mojej mamy, Jan Dariusz Cygankiewicz. Pochodził z okolic Bochni. Jako młody chłopak poszedł do Legionów, był żołnierzem I Brygady, a po 1918 roku służył w Wojsku Polskim, gdzie doszedł do stopnia kapitana. Ciocia Alina poślubiła go w 1919 roku. Jak większość legionistów Cygankiewicz żył kultem Marszałka. Zamieszkał w Brześciu, w twierdzy. Moja kochana ciocia i jej mąż traktowali mnie niemal jak własne dziecko. Byli bezdzietni i w jakiejś mierze przenieśli na mnie uczucia rodzicielskie. Ponadto Jan Cygankiewicz był moim ojcem chrzestnym. Wujek, ojciec chrzestny i w dodatku w mundurze wojskowym...

...szabla, pistolet, oficerki, ostrogi...

Przyjeżdżał z Brześcia w pełnej gali na spotkania u Komendanta. Mieszkał u nas, był przecież w bardzo dobrych stosunkach z moimi rodzicami. Pamiętam, że pewnego wieczoru pochylał się nad moim łóżkiem, żeby mnie pogłaskać, a mama wtedy powiedziała, że jestem hałaśliwy, na co on: – Dobrze, niech sobie płuca wyrabia! Był moim obrońcą i sojusznikiem. No i mogłem bawić się jego orderami: prawdziwym *Virtuti Militari*, prawdziwym Krzyżem Walecznych. Kiedy już byłem w gimnazjum, pojechałem do wujka na wakacje, do Brześcia nad Bugiem. Życie w twierdzy było dla mnie dosyć egzotyczne, uporządkowane wedle regulaminów wojskowych. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jakie wujek pełni tam funkcje. Potem się okazało, że był zastępcą szefa samodzielnego referatu informacji DOK 9, czyli w Dowództwie Okręgu Korpusu na Polesie, był zastępcą szefa wywiadu i kontrwywiadu, głównie zajmującego się dywersją komunistyczną sowiecką, polską i białoruską. Miał pewnie sporo roboty, bo ruch komunistyczny był na tym terenie dosyć silny, silniejszy nawet niż na Nowogródczyźnie. Przełożonym i przyjacielem wujka był major Malek, który po wojnie służył w Ludowym Wojsku Polskim i został aresztowany w związku z tzw. sprawą Tatarską. Na początku lat trzydziestych w wojsku doszło do weryfikacji, to było chyba jeszcze przed śmiercią Marszałka. Wuj przeszedł w stan spoczynku. Mówiło się, bardzo ogólnikowo, że wykonuje jakieś odpowiedzialne zadania. Otrzymał służbowe mieszkanie w Warszawie, na ulicy Nowowiejskiej. Często tam bywałem, po kilka razy w tygodniu, bo u wujka mogłem sobie czytać „Polską Zbrojną” i „Gazetę Polską”, zdobyć dodatkową wiedzę. A i ciotka chętnie ze mną rozmawiała. O wszystkim, nawet o panienkach. Była osobą trochę samotną, bo wuj działał w Gdańsku, w komendzie Straży Granicznej, a więc w polskim wywiadzie na terenie Wolnego Miasta.

Zdaje się, że szkoła odegrała w pana życiu bardzo ważną rolę.

To prawda. Stało się tak z bardzo prostych powodów. Byłem jedynakiem. Byłem sam. Nie narzekam, ale to fakt. Ojciec zapracowany, dziś mówi się o takich ludziach, że są pracoholikami, zajmował się mną niewiele. Miał rzeczowe, chłopskie podejście do sprawy: skoro nic mi nie brak, mam co jeść, mam w co się ubrać, rozwijam się normalnie, to wszystko jest w porządku. Co nie znaczy, że nie dbał o moją postawę. Spo-

ro zawdzięczam jego radom, były mądre, wysnute z głębokiego doświadczenia życiowego. Kiedy miałem dziesięć lat, rodzice zaczęli mi dawać kieszonkowe, po parę złotych, a to wcale nie było mało. Ojciec powiedział: – Możesz wydać, na co chcesz, ale zapisuj, ile poszło na książki, ile na lody, ile na cukierki, ile na kino. Zapisuj, żeby wiedzieć, jakie są proporcje wydatków. Nie musisz mi przedstawiać sprawozdania. Ale będę pytał. Wystarczy, że mi powiesz, bo wierzę ci. To była, można powiedzieć, nauka rozsądnego gospodarowania.

Z kolei porada organizacyjna czy, jak się potem miało okazać, porada organizacyjno-polityczna brzmiała tak: – Synku, nie kłam, bo kto kłamie, to może ukraść, a kto ukradnie, to może i zabić. Nie kłam, choć nie musisz mówić wszystkiego wszystkim. A przede wszystkim nigdy i niczego lekkomyślnie nie podpisuj. Zanim coś podpiszesz, zastanów się, nie raz, ale wiele razy, poradź się mnie albo mamy, albo nauczyciela w szkole się poradź, ale nie podpisuj niczego lekkomyślnie. Zdarza się, że ktoś podpisuje, myśląc, że złożył podpis na czystej kartce, a tymczasem podpisał wksel, który musi spłacać do końca życia. I wiele, wiele lat potem przypominałem sobie: A co ci tata mówił? Nie podpisuj! Nie podpisuj bez rozważenia możliwych skutków!

Wreszcie były rady polityczno-moralne. W mojej rodzinie panowała atmosfera szacunku dla innych. Nie było uprzedzeń narodowych, wyznaniowych czy majątkowych. Kiedy zacząłem chodzić do szkoły, na ulicach zaczęły się awantury antyżydowskie, sporo o tym mówiono i pisano, rozmaito mówiono i pisano. Ojciec na to: – To są głupoty! Niech będzie Żyd, niech będzie Turek, byle był wypłacalny, byle był rzetelny. Jediną miarą człowieka jest jego uczciwość. Inne spojrzenie na te sprawy uznawał za niepoważne. Za odchylenie od normy.

Na kogo rodzice głosowali w wyborach?

Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ojciec był państwowcem. Prawdziwym państwowcem. Pracownik Banku Polskiego – a więc centrum polskiego pieniądza. Wprowadzał złotego. Rósł z bankiem. Rósł z państwem. I był z tego dumny. W domu słyszałem o nowych inwestycjach, o rozwijających się kolejach państwowych, o potędze Poczty Polskiej. Mówiono o sukcesie Gdyni. Pojechaliśmy tam. Miałem wtedy dwanaście lat. To było niezwykle. Zupełnie nowe miasto. Nowoczesne domy, urzędy, port, no i oczywi-

ście budynek Banku Polskiego. Podejmowali nas bankowcy, koledzy ojca. Pamiętam, że mówili: To nasze dzieło! Byli dumni z sukcesu. I ja też byłem dumny, chodząc po Gdyni albo oglądając album *Dziesięciolecie Polski niepodległej 1918–1928* czy albumy z Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu.

O tym, że będę uczył się w prywatnym gimnazjum katolickim, zdecydowała moja mama. Szkoła uchodziła za jedną z lepszych w Warszawie. Jej dyrektorem był ksiądz, ale poza nim i, rzecz jasna, prefektem, uczyli nauczyciele świeccy, ludzie najwyższych kwalifikacji. Łaciny uczył Jerzy Manteuffel, pracownik Uniwersytetu Warszawskiego (brat historyka – Tadeusza i Leona – kardiochirurga). Geografię i biologię wykladał dr Stanisław Sumiński, wybitny przyrodnik, przyjaciel Jana Żabińskiego, poważny działacz Funduszu Obrony Morskiej. Jego syn Michał Sumiński odziedziczył po nim zamiłowanie do zwierzątek, był doskonałym popularyzatorem, ale to już następna generacja. Stanisław Sumiński zginął w obozie na Majdanku w 1943 roku. I tam, na Majdanku, zginął również dyrektor naszej szkoły ksiądz Roman Archutowski, znany historyk Kościoła. W 1940 roku został rektorem Seminarium Duchownego w Warszawie. Aresztowany przez gestapo, poniżany, torturowany, w końcu wysłany do Majdanka, zmarł w Niedzielę Palmową 1943 roku. W 1999 roku został beatyfikowany przez Jana Pawła II na placu Piłsudskiego w Warszawie. No i na starość dowiedziałem się, że mój dyro, którego dobrze znałem i szanowałem, został zaliczony do grona osób błogosławionych.

Nauczycielem niemieckiego był doktor germanistyki, wiceprezes Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, Tadeusz Mikułowski. Narodowy demokrat, a więc programowo podejrzliwy wobec Niemców, był wybitnym znawcą kultury niemieckiej. Tam panował hitleryzm, on zaś – na przekór – uczył nas wierszy Heinricha Heinego, w Niemczech zakazanego. Dał mi mocne podstawy niemieczyny. Tak mocne, że potem Niemcy dziwili się, skąd tyle wiem o ich języku i kulturze. Tadeusz Mikułowski został rozstrzelany jako „polski podczłowiek” w 1944 roku, w masowej egzekucji w ruinach getta, obok Pawiaka.

Historii uczył nas dr Tadeusz Bornholtz, autor podręczników dla gimnazjów i liceów. Był piłsudczykiem. W czasie wojny służył w Drugim Korpusie, potem był dyrektorem polskiego gimnazjum w Szkocji, zmarł w 1966 roku. Matematykę wykladał adiunkt Politechniki, wybitny działacz

harcerski Witold Sosnowski. Spotkałem go później w obozie w Oświęcimiu.

Więc tak: byłem uczony przez narodowego demokratę i przez pilsudczyka, i jeśli dzieliły ich różnice światopoglądowe, polityczne, a dzieliły, to łączył wysoki etos wychowawczy, chęć właściwego ukształtowania młodych ludzi w duchu, przede wszystkim, obywatelskim. I katolickim, rzecz jasna, bo do szkoły przyjmowano wyłącznie katolików – z rozmaitych zresztą środowisk. Byli więc synowie rodzin ziemiańskich i mieszczańskich, w tym rodzin konwertytów bardzo dbałych o wychowanie katolickie. Byli chłopcy z ubogich rodzin rzemieślniczych, choćby Wacek Bojarski, syn właściciela warsztatu rymarskiego na ulicy Bednarskiej, późniejszy redaktor „Sztuki i Narodu”. W szkole panowała atmosfera społecznikowska. Ubożsi uczniowie otrzymywali stypendia.

W 1937 roku, po uzyskaniu tzw. małej matury, przenieśliem się do liceum Towarzystwa Wychowawczo-Oświatowego „Przyszłość” przy ulicy Śniadeckich 17. Było tam dwóch dyrektorów: dr Teodozy Radzikowski, historyk, katolik, bardzo konserwatywny, który później, w czasie wojny, wstąpił do zakonu paulinów, i dr Aleksander Szymankiewicz, polonista, pilsudczyk, a obok nich grupa nauczycieli najwyższych kwalifikacji. Elita nauczycielstwa warszawskiego. Powiedziałbym, że zostałem obdarowany dwiema łaskami. Pierwszą było to, że urodziłem się w niepodległej Polsce. Drugą – że byłem kształcony przez pedagogów z prawdziwego zdarzenia.

To byli ludzie naprawdę interesujący się życiem uczniów, ich rozwojem intelektualnym. Mądrzy i wrażliwi. Kiedy dyrektor ksiądz Archutowski dowiedział się, że jestem miłośnikiem twórczości Bolesława Prusa, kupił mi pełne wydanie dzieł pisarza, dwadzieścia sześć tomów. Spory wydatek, który spłacałem co miesiąc z kieszonkowego. Taką zawarliśmy umowę, dzięki której mogłem nauczyć się czegoś więcej... Z geografii i przedmiotów humanistycznych miałem bardzo dobre oceny, natomiast z fizyki, a już szczególnie z matematyki było słabo. Nawet bardzo słabo. W 1940 roku w Oświęcimiu, chyba w listopadzie, ciągnąłem w błocie, wraz z innymi więźniami, ciężki walec drogowy. Nieopodal widzę mojego nauczyciela matematyki Witolda Sosnowskiego. Wychudzony, wyniszczony. Nie przeżył zresztą Oświęcimia: zmarł w 1941 roku. Ogłoszono przerwę. Tulił się do siebie, bo straszny chłód, nacieramy sobie plecy, zabijamy ręce,

a on nagle pyta: – Powiedz, czy ty nie mogłeś się tej matematyki nauczyć, czy nie chciałeś? Pedagog, który stojąc na krawędzi życia, śmiertelnie zagrożony, myśli z troską o swoim uczniu! Tak, ja moim szkołom zawdzięczam bardzo dużo.

Dobrzy nauczyciele. Dobre szkoły. Było takich sporo w całej Polsce. I niczym nie ustępowały szkołom w innych państwach europejskich. Mogłem się o tym upewnić, rozmawiając po latach z rówieśnikami z Niemiec, Anglii czy Francji. W roku akademickim 1982/83 byłem stypendystą w Berlinie Zachodnim. Poznałem wówczas nadburmistrza Berlina Richarda von Weizsäckera, przyszłego prezydenta Republiki Federalnej. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, ważnych i mniej ważnych, w końcu o młodości, o szkołach, wykształceniu. On zdawał egzamin maturalny w 1938 roku, ja rok później. Z tym jednak, że von Weizsäcker wywodził się z uprzywilejowanego środowiska, z arystokracji, z domu, w którym z pokolenia na pokolenie dziedziczono piękne księgozbiory, ja zaś pochodzę ze skromnej rodziny. Opowiedziałem o programie literatury niemieckiej w mojej szkole. On na to: ...to wcale nie mniej niż u nas. A naprawdę zdziwił się, kiedy zacząłem recytować fragment średniowiecznego tekstu w staroniemieckim. – No tak, pamiętam! – mówi. A ja na to: – Ale mnie tego uczono w polskim gimnazjum!

O szkołach w dwudziestoleciu międzywojennym miałem też ciekawą rozmowę z Janem Pawłem II. To było w Watykanie, w listopadzie 1995 roku. Był jeszcze w dobrej formie fizycznej. Rozmowa w cztery oczy, bardzo sympatyczna, trochę o polityce, trochę też o sprawach prywatnych, bo znaliśmy się z Krakowa. Zeszło na szkoły. Na zalety przedwojennych gimnazjów. Powiedziałem: – Ojciec święty chodził do gimnazjum państwowe, ja chodziłem do katolickiego. Papież uśmiechnął się: – A widzi pan, to ja miałem więcej do nadrobienia.

Skończyłem liceum w maju 1939 roku. Należałem do pierwszego i zarazem ostatniego rocznika, który uczył się w zreformowanym systemie. Moi o rok młodszy koledzy z tej samej szkoły, Janusz Warmiński (Lewandowski), później dyrektor teatru „Ateneum”, Andrzej Grzegorzczak, filozof, czy Jerzy Krasnowolski, publicysta i tłumacz, zdawali egzaminy już na kompletach konspiracyjnych. Tego dnia co ja pracę maturalną we Lwowie pisał Stanisław Lem, w Łodzi – Andrzej Braun i Karl Dedecius. W całej Polsce były te same tematy. O przeciekach jakoś nie było słyhać. Wybra-

lem temat „Idea miłości ojczyzny w poezji Adama Mickiewicza”, Dede-
cius mówił mi po latach, że pisał o Żeromskim.

Jak pan, absolwent szkoły katolickiej, usytuowałby się na ówczesnej polskiej mapie politycznej?

W szkole nie było ani Legionu Młodych, ani Straży Przedniej. Działal Związek Harcerstwa Polskiego, do którego nie należałem. Niektórzy moi koledzy, ich nazwiska przemilczę, związali się z tajnymi grupami Obozu Narodowo-Radykalnego. Ja należę do gatunku ludzi notorycznie unikających zrzeszania się. Natomiast dzięki udziałowi w kółku zainteresowań w liceum, prowadzonym przez księdza prefekta Józefa Burakowskiego, dowiadywałem się o społecznej nauce Kościoła, o encyklikach Piusa XI – *Mit brennender Sorge*, która potępiała nazizm, i *Divini redemptoris*, która potępiała komunizm. Oczywiście uczestniczyłem w lekcjach wychowania obywatelskiego, które prowadził nauczyciel historii. Myślę, że poglądy polityczne wyносиło się z domu. A to często było związane z wyborem tradycji kulturalnej. Jeden sięgał po Struga, drugi po Żeromskiego, trzeci po Sienkiewicza, czwarty po Prusa.

Był pan żeromscykiem?

Nie. Wstyd się przyznać, ale twórczością Żeromskiego zainteresowałem się poważniej dopiero po wojnie, kiedy poznałem Monikę Żeromską. Czytałem, rzecz jasna, *Wierną rzekę*, *Wiatr od morza*, *Echa leśne*, czyli Żeromski był dla mnie raczej niepodległościowo-romantyczny niż rewolucyjno-niepodległościowy, w jakiś dziwny sposób bliski Orzeszkowej czy nawet Sienkiewiczowi. Moim ulubionym pisarzem był Bolesław Prus, autor *Lalki* i *Faraona*, wielkiej powieści o mechanizmach władzy. *Lalkę* przeczytałem wcześniej, zanim zaczęliśmy ją przerabiać w szkole. Chodziłem z książką w rękę, by sprawdzić, gdzie mieszkał Rzecki, co widział z okna, gdzie był sklep Wokulskiego, jak biegną wąskie uliczki Powiśla. No i sam Wokulski! Pozytywista-romantyk z powstańczą skazą. Bo dla mnie powstanie styczniowe było jednym z najpiękniejszych rozdziałów historii Polski i nauczyciele o poglądach endeckich, więc programowo niechętni powstaniu, nic na to nie mogli poradzić. Widziałem jasno linię prowadzącą od powstania styczniowego przez Legiony – po 1920 rok, kiedy nuncjusz Achilles Ratti co dzień odprawiał mszę w kościele św. Aleksandra na placu Trzech Krzy-

ży, potem zaś spotykał się z Piłsudskim, którego rozumiał i cenil. Ratti jako jeden z dwóch dyplomatów (obok przedstawiciela Turcji) nie opuścił Warszawy zagrożonej przez bolszewików, a jako papież Pius XI zawiesił w Watykanie obraz „częstochowski”. To było dla mnie ważne.

W czasie wojny znalazłem się w kręgu Zofii Kossak, której niektórzy przypisują endeckość, co świadczy o słabej znajomości ówczesnych realiów. Była żoną oficera II Oddziału, piłsudczyka, członkinią zarządu Rodziny Wojskowej, publikowała w „Gazecie Polskiej”, a tam dla osób związanych z Narodową Demokracją nie było miejsca. Z domu – a była córką bliźniaczego brata Wojciecha Kossaka, syna Juliusza – wyniosła antybolszewizm, co można zrozumieć w związku z tym, co działo się na Wołyniu, gdzie Szczuccy (pierwszy mąż Zofii Kossak) mieli majątek. Ale z antybolszewizmu wcale nie musi wynikać nacjonalizm czy antysemityzm. Była ortodoksyjną katoliczką i posługiwała się językiem czy też specyficznym sposobem myślenia ówczesnej ortodoksji. Pisała, na przykład, że dręczenie kobiet Polek i Żydówek na placu apelowym w Oświęcimiu, nędza, głód, bicie, jest sprawiedliwą karą bożą za malowanie ust i noszenie jedwabnych pończoch. To wynikało z jej stosunku do Boga. Zresztą, niejeden rabin mówił tak samo. Szczególny sposób widzenia, który nie pokrywa się z moim. Ale przypomnę, że ta sama Zofia Kossak umiała w konspiracyjnej broszurze *Jesteś katolikiem... Jakim?* napisać o postawie nierzadko występującej wśród wiernych: „Dewotka. Trzy czwarte czasu spędza w kościele, odmawia coraz nowe nowenny, niezliczone dziesiątki różańca. Uważa się za doskonałość nieskończenie wyższą od wszystkich, którzy postępują inaczej”.

Zatrzymajmy się przy pańskich lekturach.

Byłem pożeraczem książek, entuzjastycznym i trochę chaotycznym. Lekturom poświęcałem cały wolny czas, rezygnując ze spotkań z kolegami, sportu, turystyki. No, może w czasie wakacji czytałem mniej, ale w ogóle to trudno było mi sobie wyobrazić dzień bez książki. Czytałem, co chciałem. Pisma wszystkie Moliere. Dzieła Fredry, z których część chyba nigdy nie była wystawiana. Lubilem dla zabawy czytać równolegle Makuszyńskiego i Struga, Żeromskiego i Jeske-Choińskiego, Kraszewskiego i Gąsiorowskiego – w dzikim pomieszaniu hierarchii artystycznej i literackiej. Chętnie czytałem Rodziewiczównę. Nigdy nie uważałem za nudną

prozy Orzeszkowej, chociaż takie było ogólne mniemanie moich rówieśników. W dodatku czytałem te książki, wyprzedzając program szkolny o dwa lub trzy lata, więc cenili mnie poloniści, uważali za przodującego ucznia. Ciekaw świata, ciekaw geografii, kultury sięgałem po Waltera Scotta, w latach zaś licealnych prawie równocześnie po Balzaca i Zolę. Był oczywiście Jack London. I Aleksander Dumas z *Trzema muszkieterami*. W wieku dwunastu lat nałogowo zaczytywałem się tomikami Karola Maya, w nie najlepszych przekładach. Było tego kilkadziesiąt tomów, bo i seria bliskowschodnia i indiańsko-westernowa, z Winnetou i Old Shatterhandem. Nie trafiała do mnie twórczość Norwida i Krasińskiego, może dlatego, że nauczyciele nie potrafili mnie zainteresować *Irydionem* czy *Nie-boską komedią*, z zainteresowaniem natomiast przeczytałem dramaty Wyspiańskiego w wydaniu Biblioteki Polskiej oraz utwory Dygasińskiego i Kaczkowskiego.

Ulubione dzienniki i tygodniki?

Miałem dość rozległy dostęp do prasy. „Kurier Warszawski”, „Wieczór Warszawy”, „Wieczór Warszawski”, prawicowy „Goniec Warszawski”, „Polska Zbrojna”, „Robotnik”. Szeroki wachlarz, bo od socjaldemokracji do endecji. Czytywałem „Przewodnik Katolicki” prenumerowany przez matkę. Znałem również bardzo tani, bo za pięć groszy, „Mały Dziennik” wydawany przez franciszkanów. Była to gazeta reprezentująca taki mniej więcej kierunek, jaki dziś reprezentują niektóre media toruńskie. Dosyć wcześnie zacząłem czytać „Wiadomości Literackie”. Mama pożyczała je od swej przyjaciółki Haliny Medresówny, córki inżyniera Medresa, dyrektora technicznego elektrowni. Bywaliśmy u nich, a oni u nas. Halina Medresówna zginęła wraz z częścią swej rodziny w Treblince. Stary inżynier umarł na czas, bo przed wojną, uniknął strasznego losu swych najbliższych. Wojnę przeżyła Elżunia Medresówna, dziś Szulkinowa, którą poznałem, gdy była studentką, ja zaś uczniem gimnazjum. Jest profesorem biologii. Mieszka w Szwecji. Nie znałem tylko sławnego członka rodziny, brata obu panien Medresówien, późniejszego Wiktora Grosza.

Generała, ambasadora, redaktora Grosza?

Działacza komunistycznego przed wojną i po wojnie, zaangażowanego – i to chyba z głębokiego przekonania. Bo rodzina nie miała z tym nic wspólnego. Zasymilowani polscy inteligenci o umiarkowanych poglądach.

Czytałem również, choć nieregularnie „Pion”, kupowany przez wuja, piłsudczyka. W latach 1938–1939 sięgałem po głośny w kołach młodzieżowych endecki, oeneryzujący tygodnik literacki „Prosto z mostu”, redagowany przez Stanisława Piaseckiego, w którym do czołowych autorów należeli Jerzy Pietrkiewicz, Jerzy Waldorff, Konstanty Ildefons Gałczyński, Wojciech Wasiutyński. Lektura tych gazet i książek nie miała jednak zasadniczego wpływu na kształtowanie się mego światopoglądu. Interesowała mnie nauka społeczna Kościoła. Sięgałem więc po kwartalnik „Verbum”. Od kolegów dostawałem pisma katolickie o orientacji mocno prawicowej, na przykład „Pro Christo” redagowane przez księdza Jerzego Pawskiego, który żądał „aryzacji” Kościoła, czyli chciał, żeby Kościół z powszechnego przeobraził się w Kościół „tylko dla Polaków”. Jako szesnastolatek zacząłem czytać poważne jezuickie pisma „Przegląd Powszechny” oraz „Wiarę i Życie”, których treść dzisiaj mogłaby może budzić pewne wątpliwości, ale wówczas to był głos katolickich elit. Myślałem o przyszłości, chciałem, jak każdy młody człowiek, poprawiać świat, ale moje poszukiwania zostały przerwane przez wybuch wojny.

Podobno chciał pan wstąpić do Towarzystwa Jezusowego?

Tak, tuż przed maturą. Jako absolwent liceum powinienem był spełnić obowiązek wojskowy, czyli rozpocząć roczną służbę w Szkole Podchorążych Rezerwy. Z drugiej jednak strony przepisy głosiły, że ten obowiązek spoczywa na mężczyznach, którzy mają ukończone 18 lat. Ja byłem o rok młodszy, więc w ogóle nie było pewne, czy mnie wezmą do wojska, czy też odroczyć odbywanie służby. I co robić? Czym się zająć? Od dłuższego czasu marzyłem o tym, żeby zostać pisarzem albo dziennikarzem. Takie trochę dziecinne marzenia. Kiedy miałem siedem czy osiem lat, przyjaciółka matki zapytała: – Kim ty chcesz być Władeczkę? Ja zaś, miast odpowiedzieć, że strażakiem albo żołnierzem, oznajmiłem, że chcę być mężem córki Gebethnera i Wolffa.

Ambitny zamiar.

Gebethner i Wolff mieli wspaniałe wydawnictwo książkowe. Ich firma prowadziła księgarnie w całym kraju. Jak tam się dostać? Najprościej przez małżeństwo! No i w ten sposób stworzyłem wirtualną córkę Gebethnera i Wolffa, z którą planowałem się ożenić. Później, w okresie poprzedzają-

cym maturę, zacząłem interesować się życiem intelektualnym Kościoła, działalnością jego elit umysłowych. Tak się złożyło, że przez pewien czas mieszkałem przy Asfaltowej, nieopodal zbudowanego ledwie co domu ojców jezuitów i kaplicy św. Andrzeja Boboli u wylotu Rakowieckiej. W 1938 roku śmiertelne szczątki świętego, relikwie, zostały sprowadzone z Rzymu do Warszawy. Sfery zarówno kościelne, jak i państwowe nadały temu wydarzeniu spory rozgłos. Historycznie rzecz ujmując, szło o krwawe konflikty religijne i narodowościowe w drugiej połowie XVII wieku, o spór między katolicyzmem a prawosławiem, ale męczeńska śmierć Andrzeja Boboli została potraktowana jako symbol współczesnych zagrożeń ze wschodu. Prasa, także niekatolicka, zwracała uwagę na budowę kaplicy i jej otwarcie. Chodziłem tam często, by wysłuchać kazań czy też raczej referatów ojca Edwarda Kosibowicza i pod ich wpływem doszedłem do wniosku, że zakon jezuitów jest takim miejscem, w którym będę umiał pogodzić powołanie z pracą pisarza, mówcy, dziennikarza. Podzieliłem się tą myślą z księdzem Burakowskim. Prefekt napisał opinię, którą (w zaklejonej kopercie) zaniósłem do ojca Kosibowicza. Przyjął mnie herbatą, uważnie wysłuchał. To działo się po 28 kwietnia 1939 roku, po pamiętnej mowie Hitlera zrywającej jednostronnie pakt o nieagresji, i chyba też po mowie ministra Becka, a więc w atmosferze ogólnego napięcia politycznego, przynajmniej wśród ludzi myślących. Ojciec Kosibowicz potraktował mnie jak dorosłego człowieka, ja zaś poczułem się zaszczycony, gdy powiedział: – Masz siedemnaście lat. Idź do wojska, spełnij swój obowiązek. My tę wojnę wygramy. Pobijemy Hitlera. A jak wojna się skończy, za rok, przyjdź do mnie, a ja cię przyjmę z otwartymi rękami. Czyli, najpierw spełnij obowiązek, poznaj dorosłe życie – i wtedy poważnie zastanów się nad decyzją. Mądra rada.

Ponownie spotkałem ojca Kosibowicza w 1943 roku, gdy oprócz służby w Armii Krajowej byłem kimś w rodzaju osobistego sekretarza Zofii Kossak, współzałożycielki katolickiego Frontu Odrodzenia Polski i Komitetu Pomocy Żydom. Któregoś dnia poprosiła mnie, bym jej towarzyszył w ważnej rozmowie u ojców jezuitów. Dodała, że spotkamy się ze sławnym kaznodzieją. Jak się wkrótce okazało, ojciec Kosibowicz znał Zofię Kossak jeszcze sprzed wojny, cenil jako wybitną pisarkę katolicką. Był uradowany spotkaniem. Potem spojrzął na mnie: – My przecież się znamy... Przytaknąłem. A on na to: – Miałeś do mnie przyjść... Zmieniłeś zamiar?

...Ale skoro jesteś tu z panią Zofią, to widocznie idziesz słuszną drogą... Zacząłem tłumaczyć, że w 1940 roku byłem w Oświęcimiu. – Aha, to ty jesteś z tych, co wyszli! Dziękuj Bogu! Rozmowa, którą prowadził z Zofią Kossak, trwała przynajmniej godzinę, dotyczyła zaś działań generała Sikorskiego i oceny stosunków między podziemnymi organizacjami katolickimi różnych orientacji politycznych, prawicowych i nieprawicowych. Słuchałem tego z zaciekawieniem.

W pierwszym tygodniu Powstania Warszawskiego dotarły do mnie ogólne informacje o rzezi u ojców jezuitów. Z czasem dowiedziałem się o szczegółach. Otóż w podziemiach świątyni przy Rakowieckiej znaleźli schronienie mieszkańcy okolicznych domów. Drugiego sierpnia wkroczyli tam Niemcy. Ojciec Kosibowicz podszedł do dowodzącego akcją oficera SS i zaczął go przekonywać płynną niemczyzną, że na terenie ojców jezuitów są tylko cywile, że nie ma broni... Wedle opowieści naocznych świadków oficer bardzo grzecznie zaprosił Kosibowicza na przechadzkę. Przeszli na drugą stronę ulicy, i wtedy oficer strzelił swemu rozmówcy w głowę. Tak się zakończył dialog niemieckiego oficera z doktorem teologii Edwardem Kosibowiczem, jezuitą, który zginął, próbując ratować innych ludzi, czyli w moim rozumieniu stał się męczennikiem, a na pewno jest postacią z kręgu Kościoła, o której warto pamiętać, gdy myśli się o losach wojennej Warszawy.

Naturalnym porządkiem rzeczy po maturze przychodzą pierwsze dorosłe wakacje...

W połowie lipca pojechałem na czterotygodniowy obóz Junackich Hufców Pracy. To była służba obowiązkowa, wieńcząca szkolny kurs przysposobienia wojskowego, a jednocześnie nauka współdziałania obywatelskiego. W Hufcach służyli junacy zawodowi, niemający wykształcenia średniego, kandydaci do szkół podoficerskich oraz junacy z poboru, tacy jak ja, którzy mieli być następnie skierowani do szkół podchorążych rezerwy. Przeszedłem już wtedy przez komisję poborową, wkładając sporo wysiłku, by otrzymać kategorię A, innej mieć nie wypadało, bo wstyd. Byłem krótkowzroczny. Bardziej niż dziś. W sklepie u optyka nauczyłem się więc na pamięć liter i cyfr z tablicy testowej. Badanie odbywało się w Szpitalu Ujazdowskim. Młody lekarz, podporucznik czy porucznik, szybko się zorientował, że go oszukuję. – Zależy wam, żeby pójść do wojska? – Tak! –

No, dobrze, nie będę wam robił trudności. I tak się stało. Poborowi z takim wzrokiem jak mój otrzymywali kategorię C, co znaczyło, że w przypadku wojny będą służyć w formacjach pomocniczych, ale ja chciałem pójść do szkoły podchorążych.

Otrzymałem przydział na turnus zaczynający się w połowie lipca. Miałem szczęście. Następny bowiem turnus zaczynał się w połowie sierpnia i miał trwać do połowy września. Wybuchła wojna. Junacy odbywający służbę na wschód od Bugu i Sanu byli traktowani przez Armię Czerwoną jak żołnierze. Byli umundurowani, choć bez broni. No, może niektórzy mieli ćwiczebne mannlichery. Wzięci do niewoli, trafili do obozów na terenie ZSRR. Wielu nie przeżyło.

Nasz obóz znajdował się we wsi Góry koło Dąbia nad Nerem. Muszę przyznać, że to było ciekawe doświadczenie: Polska w przekroju. Po raz pierwszy w życiu spotkałem chłopców ze wsi, z małych miast, którzy nie mieli wykształcenia i nie aspirowali do zawodów inteligenckich. Byli od nas sprawniejsi, lepiej przystosowani do pracy fizycznej, zdarzało się więc, że spoglądali na wielkomięjskie niedojdy z pewnym lekceważeniem. Spotkałem Białorusinów, których ambicją było ukończenie szkół podoficerskich, bo zawodowy plutonowy czy sierżant cieszył się wtedy szacunkiem. Spotkałem Niemców, obywateli polskich. Z nimi były pewne trudności. Emocje antyniemieckie były silne, dochodziło do konfliktów. Spotkałem też chłopców z wybitnych polskich rodzin. Na przykład Barciszewskiego, syna polskiego prezydenta Bydgoszczy, który parę tygodni po zakończeniu turnusu został wraz z ojcem rozstrzelany przez Niemców.

Wróciłem do Warszawy w połowie sierpnia, by wyjechać z mamą na krótki urlop do plebanii pod Płockiem. 27 sierpnia władze Warszawy odwołały pracowników miejskich z urlopów. Trzeba było wracać. A po miesiącu dowiedziałem się, że Niemcy zamordowali proboszcza, który tak niedawno nas gościł.

Przed wyjazdem na obóz smakowałem dorosłe życie. Chodziłem z kolegami do kawiarni, cukierni... Do Teatru Letniego w Ogrodzie Saskim. Ten teatr spłonął we wrześniu 1939 roku. Do Teatru Polskiego i Narodowego. Obejrzałem *Genewę* Shawa. I do Operetki – w poczuciu dojrzałości, bo wtedy nie było w zwyczaju, żeby uczniowie w mundurkach szkolnych oglądali frywolne przedstawienia. A potem wszystko się zawałilo.

Dziś, mając osiemdziesiąt pięć lat, zadaję sobie pytanie: ile lat żyłem w wolnej i niepodległej Polsce? Policzmy! Niewiele ponad siedemnaście lat przed wojną i prawie siedemnaście lat po 1989 roku. Między jednym i drugim pięć lat wojny i okupacji, potem zaś dziesięciolecie jakiejś autonomii, jakiegoś Królestwa Kongresowego... Wynika z tego, że jednak większość życia spędziłem w państwie niesuwerennym, zależnym.

► **Autorytety, osobowości, ludzie nieprzeciętni. Portretują ich najlepsi polscy dziennikarze.**

„Nie lubię o nic prosić. Nigdy nie prosiłem. Uważam się za dziecko przeznaczenia. Szczególne warunki, w których przyszło mi spędzić całą młodość, pozbawiły mnie możliwości wahań. Jedyne wybory, przed którym stałem, był taki: albo zaakceptuję coś, co uważam za zło, albo odmówię akceptacji. Nic więcej.”

Władysław Bartoszewski

Przygotowując się do rozmowy z Władysławem Bartoszewskim poprosiłem przyjaciół o pomoc w znalezieniu stosownego tytułu całości. Pierwszy z nich powiedział: – Ostatni, co tak poloneza wodzi... – i aż oczy mu zabłyśły z zadowolenia. Drugi z uporem powtarzał, że z takiej rozmowy powinny wynikać wnioski praktyczne. – Niech to będzie „Osobisty poradnik na ciężkie czasy”. Trzeci wspominał o napisie widniejącym na medalu Yad Vashem: „Kto ocala jedno życie, ocala cały świat”. Czwarty zaś zaproponował: – ...my z niego wszyscy... – by po chwili dodać – Chciałoby się, żeby tak było... A jeśli my z niego wszyscy, i chciałoby się, żeby tak było, to trzeba zapytać, skąd jest Władysław Bartoszewski.

Michał Komar krytyk literacki, dziennikarz, scenarzysta filmowy, publicysta; profesor w Collegium Civitas. Autor książek *Piekło Conrada* (Warszawa 1978), *Czarownice i inni* (Kraków 1980), *Zmęczenie* (Paryż 1986), *Prośba o dobrą śmierć* (Warszawa 1993), *O obrotach losów i ciał* (Warszawa 1998), *Trzy* (Warszawa 2000), *Bestiariusz codzienny* (Warszawa 2003).

Nowości i zapowiedzi
www.swiatksiazki.pl



patron medialny



CD z fragmentem
wywiadu w prezencie